



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

W wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartał. tal. pr. i sgr. 20.

TAK PÓJDIEM RAZEM

przez

Jaroslawa Vrchlickiego

(przełożył z Czeskiego Miriam).

Tak pójdziem razem, mężnie i wytrwale:
Ja—Prometeusz na żywota skale,
Ty—błękit nad nim, pełen zmiłowania,
Co nad cierpiącym gwiazdny płaszcz swój skłania;
Ja—wątku łódź, ty—zbawczej blask latarni;
Ja—ciemny grób, ty—kwiat w mogilnej darni!
Ze dna przepaści, nim rozpaczy kleszcze
W serce się wpiły, krzyknąłem raz jeszcze—
Nie o współczucie, lecz hardo, z uporem,
I ty w noc moją spadłaś meteorom,
Kwiat tchnęłaś w głazy, precz wygnałaś cienie...
Aż nad mgłą win mych błysło przebaczenie!
Chciałem kropelki—a mam całe morze;
Chciałem światelka, widzę świetną zorzę,
Gniew siałem — zbieram kłosa przebaczenia.
Czem są me śpiewy, me walki, marzenia,
Błyski nadziei i pomrok przyszłości,—
Przy tem uczuciu, co w sercu twem gości?
Wiesz, jak spi kondor? W chmurach, gdzie
[obrzydła
Burza ma gniazdo, rozciąga swe skrzydła
I w blasku gromów, ponad ziemskie cisze,
Na własnych skrzydłach śpiący się kołysze.

Tys mojem skrzydłem! W pielgrzymce do słońca
Ja na tem skrzydle, mógłbym śnić bez końca,
Choćby zniszczenia blask wionął mi w duszę...

Ty niesiesz mnie—ty chcesz: i ja—żyć muszę!

MARYA STÄFFE.

Golo Raimund, powieściopisarz niemiecki, wywołał niedawno przed pamięć swego narodu wspomnienie kobiety szlachetnej, pięknej i nieszcześliwej, o której tragicznych losach napisał powieść. Ale żadna fikcja nie może podnieść wyżej poetycznego i etycznego blasku, który w rzeczywistości życia otaczał tę postać córki ludu, pociągniętej w wir burzliwych wypadków wojennych i nietracącej wśród nich równowagi, nie wykołonej przez nie z drogi swej prostej, wiodącej ją jednak na najwynioślejsze wyżyny podniosłości duchowej. Marya Stäffe, urodzona r. 1790 w Brunświku, była córką żołnierza, feldfebla w małej armii brunświckiej, który zginął pod Jena i wtedy dziewczyna, sierota już zupełna, bo nie miała i matki, dostała się do domu bezdzietnego stryja, Michała Stäffe, właściciela historycznej dla kraju swego i po dziś dzień istniejącej gospody pod „Białym koniem“, czyli pod herbem godłem panującego domu książęcego. Gdy za udział w wojennych działaniach Prus dom Brunświcki został usunięty przez Napoleona od tronu; gdy stary książę, Karol Wilhelm Ferdynand po powrocie zpod Jeny, gdzie, mimo neutralności swego kraiku, dowodził wojskiem pruskim, raniiony i złamany uchodzić musiał z kraju, aby

umrzeć kędys dalej, a syn jego, Fryderyk Wilhelm, którego następcą swym mianował, nie mógł również, jako pułkownik pruski zpod Jeny, znaleźć miejsca w ojczyźnie, a Księstwo Brunświckie, wcielone do Królestwa Westfalii, straciło samorząd i przeszło pod rządy króla Hieronima, czyli pod władzę Francyi, Michał Stäffe należał do liczby tych najgorętszych patriotów brunświckich, których serca nie chciały zapomnieć przeszłości. Sierota pod dach jego schroniona znalazła się więc pod wpływem tych uczuć gorących, a była już usposobiona do nich tak przez świeże swe nieszczęście, jak i wychowanie, które musiało je w niej rozbudzić, bo ojciec jej należał do szczególniejszych weteranów z wojny siedmioletniej, i stary książę, także wojownik z owych czasów, przyjmując dowództwo armii pruskiej, wziął go doswego boku, jakkolwiek, pragnąc zachować ścisłą niby neutralność swego kraju, nie wyprowadził w pole ani jednego żołnierza Wojska Brunświckiego. Ponieważ Marya nie miała matki, więc całkowicie była oddana tym wpływom rozbudzającym uczucia bohaterskiej miłości kraju, którą posuwała do rzadkiej exaltacji. Piękna niezwykłą pięknoscią, znajdowała na drodze swojej wiele lgnących do niej serc męzkich, ale z pogardą pewną patrzyła na młodzież, która mogła wśród bolesnego pogromu ojczystej krainy czuć coś innego nad żal gorzki — myśleć o słodkich węzłach miłości. Dla niej „płonęły lasy“, więc nie mogła darować ludziom, którzy szukali dla życia swego róż i na tej zasadzie odmówiła, protegowanym nawet przez stryja, staraniom młodego siodlarza, Karola Feldner. Znała go od dziecka, bo mieszkała niegdyś z ojcem w domu jego matki, która w części znacznej i dla niej zastępowała matkę; lubiła go nawet, wiedziała, że jest to natura uczciwa, lecz nie mogła pokochać mimo to, bo nie było w nim tej iskry szlachetniejszego ognia, który nie tylko dla osobistych ukochań swoich płonie. Odmówiła na tej zasadzie, że te-

raz młodzi żenić się nie powinni, bo teraz rzemiosłem ich powinna być—żołnierka!

Ale nie był to, na nieszczęście, jedyny konkurent odrzucony, jedyne serce palające dla niej miłością. Brygadyer żandarmów, Fryderyk Menk, współzawodniczył z Feldnerem, ale również dostał odkosza, tylko inaczej niż tamten. Marya okazała wstręt i jawną wzdarcę i powiedziała, że tacy, jak on, nie mogą mieć przystępu do niej, że nic i nigdy nie zmusiliby jej do połączenia się z odstępca...

Menk był synem zubożonego chłopca z okolic Brunświku, chciwy, na nikczemny sposób ambitny, przeszedł z rozwiązanego korpusu Wojska Brunświckiego do żandarmów i słowa, rzucające mu hańbę jego w oczy, napełniły nędzne serce złością piekielną. Zrazu podejrzewał, że Feldner jest szczęśliwszym od niego i czatował na sposobność, aby go zgubić, czasem przecież przekonał się, że tak nie jest, ale zazdrosne uczucie nie zniknęło mu z serca. Śledził Maryę z dziką chęcią schwywania kogoś, coby jej był miłszym od niego. Nikczemny, nie pojmował wzniosłości jej uczucia i gryzło mu serce podejrzenie.

Było to r. 1808, roku wielkich wstrząśnień dla ojczyzny szlacheckiego dziewczęcia, a obok niej czuwał duch nikczemny. Jak w tragedyi stał po lewicy piękności i cnoty charakter czarny i tragedia przyjsć też musiała.

Stäffe przez politykę i ostrożność przyjmował czasem Munka, który, jak każdy inny, miał prawo przychodzić do gospody, i gdzie przychodził też od czasu do czasu, aby wzrokiem dzikiej namiętności ściagać piękną dziewczynę, traktującą go zawsze chłodno i dumnie. Gospoda leżąca na końcu miasta, w pobliżu bramy „Petrithor“, miała w tyle obszerny, cienisty ogród, gdzie też latem goście przebywali chętnie i tłumnie, a bywało to zwykle koło południa, lub nad wieczorem, gdy praca dnia się kończyła. Raz w Lipcu Munk przyszedł tu rankiem wczesnym: wstąpił, przechodząc — jak powiedział gospodarzowi — ale rzeczywiście dla widzenia dziewczyny, której po bardzo przykrem przyjęciu ostatniem nie widział od paru tygodni; przyszedł, aby napaść oczy jej widokiem. Gospodarz przyjmował go grzecznie, Marya patrzyła wzrokiem lodowatym jak zawsze—gdy naraz wszedł do ogrodu człowiek wędrowny, w zakurzonym obuwiu i prostym ubiorze. Był bardzo wysoki, postaci kształtnej i silnej; ciemny blondyn, miał duże niebieskie oczy, co razem przedstawiało piękną postać mężczyzny, już zapewne po trzydziestym roku życia, gdy przecież witając gospodarza zdjął kapelusz i odsłonił czoło, owiele bielsze od reszty ogorzalej twarzy, uderzało to jak szczególność, że ciemne i gęste brwi jego siwiał!

I kilka głębokich zmarszczek rysowało też czoło, zresztą twarz była młoda i przyjemna, z wyrazem łagodności i powagi, która pociągała.

Gdy ten wędrowiec wszedł, Michał Stäffe spojrzawszy na niego, mimowoli się zerwał i o mało co nie krzyknął. Wstrzymał się jednak i na zwykłe powitanie odpowiedział zwykłym sposobem. Podróżny prosił o śniadanie, skromne śniadanie złożone z piwa, chleba i sera. Ponieważ gospoda leżała pod bramą miejską, wielu podobnych mu wędrownych ludzi zachodziło tu na posiłek; przecież w wyniosłej postaci nowoprzybyłego, było coś tak uderzającego szlacheckim charakterem, że Munk zerwał się naraz do wykonania czynności swego urzędu—zażądał od podróżnego papierów.

Znajdowały się w porządku: przybyły był wędrownym czeladnikiem, rękawicznikiem z profesyi, nazywał się Jan Franciszek Conring, miał paszport i świadectwo od swego cechu. Munk też nie miał już nic do powiedzenia i tylko Marya rzuciła mu strzałę pogardliwego spojrzenia, wychodząc po śniadanie dla wędrowca...

To wypędziło przedko przejętego złością, w którym miłość walczyła z nienawiścią: wyszedł, a z piersi Michała Stäffe spadł kamień ogromny, bo Jan Franciszek Conring—był to książę Fryderyk Wilhelm!...

Przybywał do Brunświku, aby osobiście rozmówić się ze stronnikami swymi, a dom Michała Stäffe, którego znał jako rajcę magistratu i który używał w całym mieście sławy wielkiej uczciwości

i cnoty obywatelskiej, wybrał sobie jako schronienie na czas tajemniczego tu pobytu. W gospodzie, licznie uczęszczanej, przebywało ustawicznie mnóstwo ludzi: przychodzili i wychodzili obcy i swoi, więc wybór miejsca był dobry, najlepszy, jak obmyslić było można.

Fryderyk Wilhelm przebywał też tu dni kilka.

Choć Pokój Tylżycki odebrał mu resztę nadziei, choć bardzo kochana żona umarła mu, wydając na świat dziecko nieżywe, a dwóch starszych synków zostawić musiał u ich macierzystej babki owdowiałej księżny Badeńskiej, z uczuciem bardzo gorzkim, bo wpływ Napoleona i Francji panował tutaj przez wydanie Księżniczki Badeńskiej za Eugeniusza Beauharnais, a on sam nie miał prawie gdzie się schronić, gdyż Prussy opuściły go zdradziecko, a Blücher, chcąc zwalić na kogoś winę przegranej pod Jeną, przypisywał ją jemu, odbierając blask już ostatni, jaki mu jeszcze przyświecał: rycerską sławą wojownika—on jednak nie upadł na duchu, nie chciał poddać się losowi. Przybywał do ojczyzny jako zbieg, księżę panujący wszedł do gospody publicznej, jak pieszy wędrowiec i ukrywał się jak zbrodniarz, ale pchał go tu cel niezabitego w nim jeszcze uczucia. Chciał na prywatną swą własność, księstwo Oels, zaciągnąć dług, aby, wspierając się teraz na Austrii i przystępując z nią do związku przeciw Napoleonowi, mógł powiedzieć, ile posiłkowego wojska przystawi, jako sukurs w razie wojny z Francją.

Chciał pieniądze, aby zaciągać żołnierzy, aby walczyć z wrogiem swoim i kraju swego. Dawni jego poddani, w oczach których był on władcą prawym, wcieleniem idei narodowej, zbiegali się w tajemnicy do niego; byli mu sercem wierni, byli przywiązani i do ofiar gotowi, ale lękano się, aby nie pogrążyć jeszcze głębiej nawy ojczystej—lękano się ostatecznego zubożenia książęcego domu i zarazem kapitaliści byli niepowni i wahający się!

Gorycz zalewała mu więc serce, niedowierzenie innych w gwiazdę jego przeszczepliło mu się we własne jego piersi. Walczył ze sobą i cierpiał. Dzień cały zamknięty w pokoju z zastłoniętymi oknami i męczony naradami, na których pomysły koniec nie mógł jeszcze liczyć, dopiero ciemnym już wieczorem schodził do cienistego ogrodu gospody i oddychał—wciągał w pierś to powietrze rodzinnej strony, którego może nie miał już nigdy wziąć w płuca, gdy znowu wyruszy ztąd w świat — na wygnanie!

Raz wieczorem usłyszał u siebie na górze miły głosik kobiecy, świeży i czysty jak u skowronka, nucący w ogrodzie, zszedł tam prędzej niż zamierzał, pociągnięty przez jego słodyczy i nutę dawnej, w dzieciństwie znanej mu piosenki, której może nie usłyszy już więcej... Staremu jego ojcu, pytającemu z goryczą, gdzie ma się podziać, z kraju wydalony? odpowiedział Napoleon: — „Generale, poszukaj sobie ojczyzny po za Oceanem“... Synowi Karola Wilhelma często też przychodziło to na myśl, że może ostatecznie tam będzie jego schronienie, jego grób. Dziś wiadomości były mało pocieszające: bankierzy nakładali warunki bardzo uciążliwe, przyjaciele radzili je odrzucić i myśl o Ameryce przedstawiła się znowu wygnancowi jak mara groźna, więc stara piosenka wywołała mu łzy z oczu.

Śpiewającą była Marya Stäffe. Nie widziała ona kto to był ów gość tajemniczy. Z twarzy znała tylko starego księcia, któremu kłaniano się, gdy przejeżdżał ulicę miasta, ale młodych książąt, znajdujących się w jego świetle, nie nie wyróżniało od innych officerów. Przytem Fryderyk Wilhelm, w którym wtedy nikt nie przeczuwał następcy tronu, długo podróżował po Europie, po ożenieniu się mieszkał w Oels i nawet dla tego tylko mógł tak ryzykownie wkraść się do stolicy dawnego swego księstwa. Marya uwierzyła też stryjowi, co jej powiedział, że to ktoś z poświęconych stronników księcia, ktoś skompromittowany przez to w oczach władzy francuskiej, a któremu było koniecznie potrzeba przybyć tu dla interesów wielkiej wagi. Ale i tego było dość dla entuzjastki, aby jej serce zostało już całkowicie zdobyte dla nieznanego; przecież dotychczas mogła jedynie dbać o doskonałość jego obiadów,

przyczem jednak zastanawiała się nieraz: kto to taki być może? bo stryj nosił mu na górę najdroższe i najdoskonalsze wina swojej piwnicy. Teraz przecież, gdy wszedł do altany, wysoki, kształtny, szlachezny w ruchu każdym, ona, zrywając się z ławki, na której siedziała, patrząc w księżyc, zawołała mimowoli: — Al! jasnie wielmożny pan!

On miał twarz smutną i smutnie też uśmiechnął się do niej: — Nie jestem ja jasnie wielmożny... o nie!... Nie jestem zgoła wielmożny... rzekł i przytrzymał dziewczynę, aby została. Potrzeba mu było jakiejś chwili wypoczynku po szarpających nim myślach, potrzeba mu było tej piosenki, której echo uniósłby ztąd ze sobą. Śpiewała mu, a potem rozmawiali ze sobą. Serce miał tak przepełnione żalem i smutkiem, piękna dziewczyna patrzyła na niego takim wzrokiem współczucia, że powoli on, książę, zaczął jej się skarżyć na dolę swoją. Spadły na niego wielkie i niespodziewane nieszczęścia, majątek rodzinny został stracony razem z ojczyzną. Żona: dobra, tkliwa, głęboko do niego przywiązana i oddana sercem całym, umarła w skutek zmartwienia: nie miał teraz prawie gdzie podziąć dwojga dzieci, które zostały na łasce u krewnych żony — był więc smutny, był nieszczęśliwy...

Maryi Stäffe łzy przepłynęły oczy. Ten człowiek ponosi wszystkie te cierpienia dla tego, że jest szlachećnie poświęcony sprawie ojczystej! Patrzyła z głębokim i tkliwym współczuciem na tę mężką, smutną i poważną postać: teraz zrozumiała zorane czoło i brwi siwe nad młodemi oczami. Sprawily to zadumy głębokie, myśli bolesne, w sennych widzeniach tylko widywane obrazy istot drogie i miejsce rodzinnych.

Wygnaniec, który znalazł się wpośród tych miejsc drogie na krótkich dni kilka, który nigdy może już tu powrócić nie miał—stał się dla niej przedmiotem czei i litości razem. Siedziała z nim w ogrodzie, nie licząc godzin letniej nocy: była krótką i świtać też już miało, gdy Fryderyk Wilhelm, mający jutro odjeżdżać a raczej powędrować pieszo, w świat daleki niepewnych zdarzeń, podniósł się z westchnieniem, bo należało mu przespać się jeszcze cośkolwiek. Smutno mu było żegnać się z tą dobrą i szlachecką dziewczyną, której proste, ale czyste serce biło tak gorącym uczuciem dla wszystkich nadziei i ideałów jego. Marya powiedziała mu wśród rozmowy poprzedniej, że codziennie przy pacierzu modli się za księcia: on też teraz żegnając się, prosił, aby się modliła i za niego, bo nietylko książę, ale i człowiek potrzebuje modlitwy. Dziewczyna przyrzekła—wierząc w całej młodej gorącości religijnych swych uczuć w skuteczność szczerzej prośby, zasyłanej Bogu, przyrzekła, aby przyrzeczenia swego nie złamać nigdy. I te słowa, które wzruszenie smutnego serca wyprowadziło przypadkowo na usta wygnanca, stały się węzłem, łączącym dwoje tych ludzi, którzy, wedle warunków ziemskiego istnienia, stali od siebie tak daleko, jak gdyby jedno znajdowało się na Północnym, drugie na Południowym Biegunie. Modląc się codziennie za nieznanego, nieszczęśliwego człowieka, nie mogła go zapomnieć nigdy. Przypomnienie przychodziło co wieczór, aby potem myśl o nim snuła się długo, długo... aż do zamknięcia powiek.

Byłoby to może jednak uległo zmianie — modlitwa ta byłaby się stała może przyzwyczajeniem spokojnem, które serca już nie wzrusza i w cichości je zostawia, gdyby nie to, że obraz mogący się w ten sposób zwolna mgłą zaciągnąć, odświeżył się nagle. Raz w Październiku, też porankiem wczesnym i równie od strony rogatki, wszedł przez ogród do gospody młody, wysoki wieśniak bawarski, i zażądał widzenia się z gospodarzem. Trzymał w ręku duży kosz pełny jaj, które były jakoby zamówione, i Michał Stäffe, gdy tylko usłyszał głos mówiącego, natychmiast popędził dla załatwienia handlu. Wziął kosz i wieśniak poszedł zanim do komory spiżarnianej, aby je tam przeliczyć. Liczenie trwało szczególnie długo, aż nakoniec wieśniak wyszedł, ale nawet szklanki piwa nie wypił w gospodzie. Marya poznała przecież, że to był nieznanomy;

poznała go tak odrazu i tak dobrze, choć widziała tylko z okna swego pokoiku, położonego wysoko w szczycie domu, że nie wątpiła ani na chwilę o tożsamości. Tylko gdy jej serce tak biło w pierś, że rozsadało ją niemal, on odchodząc zwolnił długą aleją lipową, której żółkłe liście wiatr słał na ziemię, nie obejrzał się nawet, aby poszukać jej wzrokiem.

Powiedziała stryjowi przypuszczenie swoje i ten, widząc pewność Maryi, nie zapierał się daremnie. Tak, to był nieznamy, który, jak poprzednio przybył do miasta w interesie księcia—dla porozumienia się z garstką wiernych mu i oddanych jego sprawie stronników.

Poświęcał się zatem! Szedł w paszczę niebezpieczeństwa i śmierci, gorszej, niż gdyby pierś jego była otwarta na kule Francuzów, bo schwytały by były niewątpliwie straconym — rozstrzelano by go przez wyrok sądu wojennego, jako szpiega.

Maryja powiedziała to z trwogą stryjowi, a on, smutno kiwając głową, nie zaprzeczył jej słowom. Tak! nastąpić-by to musiało niezawodnie: dlatego należało jej milczeć jak grób.

Przestroga nie była już potrzebna, bo żadna siła ziemską nie byłaby wyrwała z ust dziewczyny posiadanego przez nią sekretu. Tylko od tej chwili jej modlitwa stała się inną jeszcze jak dotąd, gorętszą, ach! tak gorącą, że aż namiętną, i przez długi czas drżała nieustannie, czy nie usłyszy okrutnej wieści o pojmaniu przez Francuzów wieśniaka w ubiorze górali bawarskich; lecz choć uspokoiło się to powoli, nazawsze już pozostała jej w sercu cicha tęsknota za nim. — Co on robi? gdzie on przebywa? jaką ofiarę spełnia teraz — bohater?... to były nieustanne myśli jej o nieznanym. A była smutna, bo nie obejrzał się nawet za nią, wzrok jego nie szukał jej... była smutna, ale to właśnie spotęgowało siłę doznawanych wrażeń. Zapragnęła, aby jego oczy zbiegły się były z jej oczyma i nieznamy tak czasem ukazywał się jej we śnie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

POLKA I AMERYKANKA

POWIEŚĆ

przez

Sewera,

(Dalszy ciąg).

— „Gdybym przegrała, dodałabym jeszcze pięćset i pan pewno-bys je wziął.

— „Naturalnie—odparł.

— „A ponieważ wygrałam... — ukloniłam mu się z gracją, chowając portmonetkę“.

— Cóż na to poręcznik?— spytała Jadwiga.

— Śmiał się, ale cicho i smutno, choć zwykle śmieje się głośno i szczerze.

— Musiałas go oczarować.

— Nie wiem, czy ktokolwiek lub cośkolwiek może go oczarować. Są ludzie tak twardzi, lub małoduszni, że wszelkie wpływy odskakują od nich, jak od pancerza.

— Mimo to przyjedzie niezadługo z wszelką pewnością—dodał p. Edward. Utrzymuje, że nawet córka ich generała nie jeździła ta świetnie konno, jak Stasia.

— Należałoby pomyśleć, aby mu się podobać. Jest to partya—rzekła p. Balbina, chcąc wybać dziewczynę.

— Cóż, to za partya?—pochwyciła Stanisława.

— Świetna!

— Ależ to człowiek śmieszny i ograniczony! Pożycie z nim byłoby męczarnią. Musiałabym się za niego nieustannie rumienić. Próżny i wychwalający się, jak wczorajszy nędzarz, a dziś milioner, dotego stary. Nic niema w nim szlachetnego, nie dżentleńskiego. Czyż może być coś bardziej upadającego kobietę nad sprzedanie się?

Sądzę, że pani nie wydałabyś Jadzi za niego: dlatego ja mam być gorszą?

Pan Edward zbladł i nieznacznie spojrzał na córkę. Była blada i zamysłona.

— Nie chcieliśmy cię obrazić—zwrócił się do siostrzenicy—i wierzymy w to, co mówisz.

— Dziękuję, ci, mój stryju—odpowiedziała z dumą.

— Jesteś jednak pewna, że poręcznik przyjedzie tu?—zrobiła uwagę Jadwiga.

— Musi się dobrze bawić w mem towarzystwie, bo się głośno i często śmieje. A czy maluczy czy wielcy zajmują się nami, to nas przecie ani obrażać, ani gniewać nie może.

— A gdyby się oświadczył?—spytała pani Balbina.

— Tem gorzej dla niego. Byłby ukarany za swe zachowanie i niedomyślność o mem dla niego usposobieniu.

Pani Balbina odetchnęła całą pierśią. Jadwiga sępsniała. Wstydziła się samej siebie. Jest to uczucie przykre i bolesne, odbijające się smutkiem w oczach i na twarzy.

Zrozumiał ojciec boleść swego dziecka, lecz nie śmiał jej pocieszać.

Jadwiga pociągnęła go nieznacznie do salonu.

— Ojcie — szepnęła — Stasia upokorzyła mnie, i jeżeli się domyślam...

— Nie — przysięgam ci. Jest to dziewczyna szczerza, otwarta i szlachetna. Cóż temu winna, że swoje przekonania wypowiada głośno? Moje dziecko, bądź dla niej dobrą.

Zostawił ją samą, pogrążoną w smutnych myślach.

W umyśle dziewczyny zaczęła się odbywać walka, z której wytwarzała się krytyka jej dotychczasowych czynów. Są to chwile przykre i ciężkie. Błędy nasze we własnych oczach obrzmieją, wyglądają potwornie. Rozbudzona fantazja w tym kierunku, pracując, szarpie nerwy, wytwarza niesmak i niezadowolnienie.

* * *

W pokoju pana Edwarda, przy zamkniętych drzwiach, odbywała się narada dwóch braci.

— Mam wszystkiego piętnaście tysięcy dolarów, z których pięć tysięcy są nietykalną własnością Stasi.

— Tylko tyle—szepnął p. Edward.

— Niestety—odparł p. Ludwik.

— Nareszcie—to nie zmienia projektu kupna przez ciebie połowy Żurawna: zapłacisz mi u notaryusza te piętnaście tysięcy, jako połowę należyłości, przyrzekając na św. Jan zapłacić resztującą sumę. Ja odbieram pieniądze, kwituję cię, a gdy wyjdziemy, zwróć ci je natychmiast.

— Zgoda, jeżeli ci to potrzebne, zgoda. Połowę długu towarzystwa również przyjmuję na siebie.

Uścisknęli się serdecznie.

— Pojmujesz, co znaczy opinia zamożności wszędzie, a co dopiero w naszym biednym kraju?—tłómaczył się p. Edward.

— Pojmuję i nie dziwię się. Pieniądz jest wszystkim, a im kraj uboższy, tem panowanie jego i wpływy potężniejsze.

— Na świadków—mówił dalej młodszy brat—poproszę dwóch sąsiadów, lubiących dużo wiedzieć i dużo mówić.

— To jest konieczne.

— Ludwiku, czy zabierzesz połowę budynków?

— Ani jednej krokwi. Ty masz dwoje dzieci, ja—jedno. I zdaje mi się, że jestem nieco praktyczniejszym od ciebie, przynajmniej o tyle, o ile moja Stasia ma więcej energii od Jadzi. Ciebie dobry byt rozpieścił, mnie twardy los zahartował.

Jutro jedziemy do Krakowa, do notaryusza. Po powrocie rozdzielamy grunta, sypimy kopce i dalej, do pracy! Jestem w połowie Amerykanin: na wyraz „praca“ gorączkuję się.

Wyszli rozpromienieni. Pan Edward czuł, że został uratowany, Ludwik rad był z tego i cieszył się, że młodszemu bratu nie zadał ciosu.

— Ludwik kupuje połowę Żurawna—szepnął mąż p. Balbinie.

— Nic nie stracimy w opinii—rzekł do córki—sąsiadom nie damy sposobności do litowania się nad nami.

VIII.

Parę starych dębów, wśród nich kilka smukłych brzoź, krzaki berberysu i jerezyny, wały z kamieni i zielona murawa, zdobyły wzgórze panujące nad okolicą, u stóp którego Wisła cicho płynęła. Ustroń ta, doniedawna bezлюдna i dzika, dziś wrzała życiem. Zdaleka slychać było nawoływania ludzi, uderzania toporów, zgrzyt pił, rżenie koni i częste śmiechy kobiet, pracujących przy zakładaniu ogrodu.

Pan Ludwik, w wełnianej koszuli i bluzie płóciennej, w słomianym kapeluszu okręconym białym woalem, trzymając topór w ręku—dowodził.

Uśmiechnięty był i zadowolony. Dzielną i pracowitą jego młodość wracała wspomnieniami do puszczy i dziewiczych lasów Ameryki, gdzie budował szałas, karczował drzewa, orał i siał, aż dopóki nie założył fermy i tej, stęskniony do cywilizacji i ludzi, nie sprzedał.

Dziś czuł się w swym żywiole. Rozkazywał jak wódz, budząc w pracujących przy nim ludziach podziw, szacunek i pilność. Sprawiedliwość, znajomością rzeczy i praktycznym swym rozumem, przywiązał ich do siebie i imponował im.

Ustóp wzgórze wznosił się, zbity naprędce z desek, obszerny budynek; obok niego tymczasowo—stajnia i obora.

W improwizowanych salonach drewnianego budynku królowała Stasia. Podłogę i ściany kazała wyłożyć dywanami; w okna powstawiała kwiaty, meble sprowadziła z Krakowa. Zagospodarowała się, jakby budynek ten był pałacem, a nie zbitą z desek budą. Jest to dziedziczny dar kolonistów. Dziewczyna czuła się u siebie. Za żadną cenę nie chciała pozostać w Żurawnie, nie chciała ojca opuszczać.

Dobrze jej było wśród gorączkowej pracy. Pemaowała ojcu, zastępowała go w dozorze, gospodarowała, jeździła konno, odwiedzała Jadwigę, czytała dzienniki polskie a powieści angielskie, pisywała długie listy do przyjaciółek w Ameryce. Na wszystko miała czas. A gdy dodamy do tego, że przebierała się trzy razy dziennie i co wieczór śpiewała pieśni nabożne ze służbą, musimy przyznać, że miała dar przedłużania czasu i użytkowania z niego energicznie.

Pan Edward nie mógł wyjść z podziwu nad dzielnością swego brata i pracowitością, połączoną ze swobodą jego córki. Nudząc się w domu, odwiedzał ich często w towarzystwie córki.

Jadwiga w duchu zazdrościła Amerykance, dąru pracy i praktyczności. Nikt jej w tym kierunku nie kształcił, nikt się nią nie zajmował. Dzieciństwo jej przeszło przy trzech grammatykach i fortepianie, nauce tańca, literaturze francuskiej i geografii. Młodość zaskoczyła ją przy czytaniu powieści i romansów, rozmowach o strojach i głośnych marzeniach zrobienia świetnej partyi.

— Jak ty możesz tak wszystkiemu podoleć?—pytała Jadwiga Stanisławy.

— Chcę—odpowiadała—i ty chciej, a zobaczysz.

— Ja nie mam pola—mówiła dziewczyna.—Mama wszystko trzyma w swych rękach.

— I temu wszystkiemu nie może podoleć.

— Prawda, lecz nie ustąpi. Nareszcie, nie nauczono mnie pracy. Od dzieciństwa nie miałam o niej pojęcia. Dziś praktyka byłaby dla mnie ciężarem i męczęństwem.

— W takim razie czekaj, póki się nie zakończysz i nie pójdiesz za mąż: miłość łagodzić będzie męczęństwo pracy.

Jadwiga zarumieniła się lekko. Chciała odpowiedzieć, lecz słowa zamarły jej na ustach.

Kobiety te tak różne usposobieniem i charakterem, czuły ku sobie nieprzeparty pociąg. Wpływ Amerykanki na umysł siostry był powolny, lecz stanowczy. Jadwiga nie śmiała przed nią wypowiadać głośno swych myśli.

IX.

W całej okolicy zawrzała ciekawość poznania Amerykanki. Starsi mężczyźni serdecznie wspominali p. Ludwika.

Listy p. Balbiny, oskarżające młodą dziewczynę, jej wyjazd po kupno koni, wygrana pięciuset złotych, przeskakiwanie na koniu płotów, urządzenie salonów w budzie ze zbitych desek: wszystko to intrygowało i zaciekało; a że to robiła Amerykanka, przebaczała jej, kładąc na karb jej oryginalności.

Nikt nie chciał się zdradzić, że nie zna obyczajów amerykańskich: bawiono się więc excentrycznością i energią młodej i urodziwej dziewczyny.

Niedziela dała hasło do licznego zjazdu sąsiadów w parafialnym kościele żurawińskim. Z niecierpliwością oczekiwano przybycia ojca i córki. Gdy weszli, szmer się zrobił w kościele, wszystkich oczy zwróciły się na nią. Pani Balbina zaczęła ją lornetować, starsze panie, szeptały między sobą, młodsze—przypatrywać się jej ciekawie.

Po nabożeństwie, podług przyjętego zwyczaju, całe towarzystwo poszło na plebanię. Pan Ludwik znalazł paru kolegów i przyjaciół z czasów młodości. Witał się, rozrzewniony, przedstawiając swą jedynaczkę.

Amerykanka znajdowała się jak u siebie; pełna naturalnego wdzięku i śmiałości, ujmowała kobiety, przyciągała młodzież.

Pani Balbina, chmurna niezadowolona, widziała, jak jej oskarżenia nie miały wpływu, a przytomność i wesołość Stanisławy przyćmiły jej córki, spychając ją na drugi plan.

Amerykanka królowała swoją oryginalnością. Zaczęto mówić o polityce.

— Panie macie swoje stronnictwo w powiecie?—rzuciła pytanie, zwracając się do młodych kobiet.

Wszystkich oczy przeniosły się na cudzoziemkę. Dotąd święte hasła zgody obywatelskiej i życzliwości sąsiedzkiej stały na straży różnicy zdań i nie dopuściły, aby się miały wkładać jakieś party rozrywające jedność, wprowadzające nowatorstwa.

— Kobiety u nas nie zajmują się polityką—przerwała ciszę p. Balbina, chcąc dać nauczkę dziewczynie.

— Żartuje pani—pochwyciła—gdyż zajmowanie się sprawami swego kraju, jeżeli go się kocha, jest obowiązkiem, tak kobiet, jak mężczyzn.

— Można kochać — przerwała p. Balbina, całą różową...

— Lecz się nie troszczyć; Francuzki podobno tak kochają swe dzieci: oddają je na mamki obcym.

Pani Balbina spojrziała triumfująco po towarzystwie, jakby chciała powiedzieć: — Słyszycie, co ona mówi?

Towarzystwo nie zwróciło uwagi na spojrzenia p. Balbiny; zajęte było Amerykanką, która, zbliżywszy się do panien, mówiła wesoło:

— Musimy posyłać naszych ludzi do sejmu, protegować i popierać nasze dzienniki i przez nie rozwijać nasze zasady.

— Cóż się wtedy stanie z gospodarstwem i domem—odważyła się na uwagę jedna ze starszych pań?

— Chociażbym cztery godziny czasu poświęciła gospodarstwu, to jeszcze zostaje dziesięć na politykę.

— Na politykę?—powtórzył ktoś z obcych.

— Na co mi się podoba, a więc i na politykę.

Ożywiona rozmowa płynęła wesoło.

Amerykankę otoczyła młodzież; panny przyrzekały jej pomoc w zawiązaniu stronnictwa; zadrześciły jej głośno konnej jazdy i odwagi.

Bawiły się wybornie, nie myśląc o żadnych zobowiązaniach, gdy młoda dziewczyna traktowała rzeczy poważnie. Ta była między nimi różnica.

Polubiono Amerykankę za jej wesołość i szczerłość, a głównie za jej oryginalność. Bawiono się nią. Młode kobiety marzyły o polityce i konnej jeździe, lecz na marzeniach się skończyło. Jedną tylko p. Balbina czuła się upokorzoną, przez serdeczność w przyjęciu Stanisławy.

Jadwigę również coraz większy opanowywał smutek i zamyslenie. Przeczynała, że sąsiedzi

odgadują odegranie komedyi z kupnem i sprzedażą połowy Żurawna.

Nie zwierzała się ze swych spostrzeżeń przed ojcem, była jednak pewną, że są prawdziwe. Wrażliwa jej i nerwowa natura odczuła pewien chłód w przywitaniu, spojrzeniu i brzmieniu głosu swych rówieczniczek. Młodzież nie otaczała jej jak dawniej, nie służyła jej. Nie była już ona dziś dla niej królową.

Istotnie, sąsiedzi, widząc ciężką pracę p. Ludwika, pewną skromność i rachunek w prowadzeniu jego domu, zwątpili o bogactwach amerykańskich; resztę im dośpiewały zawiść i skryta radość z niepowodzeń bliźniego.

X.

Przeskakiwanie rowów, śmiałość do koni, wyzywające spojrzenia odważnej dziewczyny, biała jej pleć, silna budowa i zaokrąglone ramiona, rzucały czary na siwiejącego Marsa. Nie mógł nad nimi zapanować, nie mógł się spod ich władzy uwolnić.

W kole kolegów porucznika Amerykanka urosła na legendową bohaterkę. Siwiejący Mars umiał podnosić jej przymioty i wtedy nabierał wymowy nieznaną mu przedtem.

Przyjaciele potakiwali, dziwiąc się wszystkimi przysłówkami języka niemieckiego. Nareszcie zdecydowano, że Amerykanka jest kolosalna, piramidalna...

Major podniósł ją na wysokość *aus dem ef. ef.* Stała zatem na szczycie.

— Wiesz co?—zawołał major—musisz odebrać swoje konie i swoje przegrane 500 reńskich.

— Ale jakim sposobem?

— Sprowadzić Amerykankę do swego domu.

— Pojedziemy po nią całym szwadronem.

Głośno śmiechy i wielkie hura poświadczły trafność pomysłu majora.

Pito na cześć Amerykanki i *Goldener-Onkla aus Amerika*.

— Pomyśl — szepnął major, biorąc porucznika pod ramię.—Te Amerykanki są dzielne, massywne i twarde jak żelazo—nie takie, jak nasze rozmarzone Polki. Przytem *Goldener-Onkel* nie jest amerykańską błagą. Stary, jak sam mówisz, ma dolary. Prawda?

— Niezawodnie, tylko się boję, czy nie jestem dla dziewczyny za stary.

— *Das hängt alles von der Tresur ab.*

Rozśmiali się serdecznie, a przedewszystkiem major ze swego konceptu.

Siwiejący Mars uściśnął go za rękę, mrugnął dyplomatycznie i, nie odpowiedziawszy ani słowa, wprowadził go do koła biesiadników.

Tylko co z kadeta wykłuty officer, zakładał się, że na swym koniu przesadzi tensam rów, który Amerykanka przesadziła.

Zakład przyjęto, wyprowadzono konia. Porucznik wskazał szersze miejsce rowu, aniżeli to, przez które przesadziła p. Stanisława. Młodzieniec spiął konia ostrogami, pochylił się. Ziemia zadudniała, powstał kurz: młodzieniec wraz z koniem w rowie.

Wielki, gruby śmiech, używany specjalnie przez dzieci Marsa, ogłosił przegraną. Amerykanka poraz drugi zajaśniała w całym blasku wielkości.

* * *

Nie domyślała się dziewczyna rosnącej swej sławy u reprezentantów armii.

Zadowolona a raczej dumna z przyjęcia w okolicy, starała się zapoznać z naszymi stosunkami autonomicznymi i konstytucyjnym życiem państwa. Czytywała pilnie dzienniki, odnosząc się w wielu kwestiach do ojca.

Pan Ludwik odsyłał ją po szczegóły do brata.

— Trzydzieści lat nie byłem w kraju — odpowiadał z uśmiechem.—Pomyśl o tem, moje dziecko. Póki nie wyjdziemy z koczowniczego życia, póki ci gniazda nie uścielę, czyż mogę, czyż mi wolno, zajmować się czemkolwiek bądź innem, choćby przez wzgląd na ciebie?

— Na mnie, drogi ojcze?—spytała zdziwiona.
— Muszę ci przygotować pełną spiżarnię i pełne stodoły; to jest pierwszy obowiązek ojca. Po-całował ją w czoło.

Należało szukać skazówek i wyjaśnień u pana Edwarda.

Zaczęły się częste wizyty w Żurawnie; serdeczny stosunek między siostrami, bez ich wiedzy i starań, utrwał się. Stanowczy charakter, meżka energia i śmiałość Amerykanki, skłaniały się ku cichej, łagodnej, zamkniętej w sobie, być może rozpieszczonej, lecz powabnej, z nieokreślonym smutkiem i rozmarzonymi oczami, dziewczynie. Dopełniały się wzajemnie; i dlatego sympatyzowały ze sobą.

Jadwiga wobec Stanisławy stawała się śmielszą, silniej wierzącą w siebie i, powiedzmy prawdę, uczyła się rzeczy nazywać po imieniu, na niekorzyść sentymentalizmu, który doniedawna był wyrazem jej uczuć, a na pociechę jej szlacheckich instynktów, drzemających na dnie jej serca.

Przepełnienie Żurawna, niepowodzenie w stosunkach z porucznikiem i brak gotówki, trzymały mieszkańców białego dworu jak na uwięzi w domu. Pani Balbina potrzebowała Szczawnicy, Jadwiga Krynicy. Pan Edward miał z Guciem zrobić wycieczkę po Europie...

Piękne projekta rozwiały się przepołowieniem Żurawna.

P. Balbina głośno narzekała, mając żal do męża. Żal i skargi odbijały się o stalową pierś tego cynika. Posłał po wodę szczawnicką do Krakowa.

— Daj mi z nią powietrze szczawnickie—mówiła Balcia dramatycznie.

— Balcu, westchnienia twe łżejsze są od powietrza najwyższych gór, a jednak nie leczą ran moich—odpowiedział p. Edward, gdy byli sami.

W takim stanie rzeczy ojciec i córka serdecznie witali wesołą dziewczynę. Jedną p. Balbina nie lubiła jej i zwykle czas wizyt Amerykanki przepędzała w swoim pokoju.

P. Edward znał polityczne życie Galicyi, chociaż w niem nie brał czynnego udziału. A że był konserwatystą, umiał więc swoje stronnictwo najlepiej przedstawić, ośmieszając przeciwników, często dowcipnie a zawsze z humorem.

Amerykanka, ze swego stanowiska, musiała być republikanką, tak jak z wychowania, obyczajów i stosunków, w których wzrosła, była demokratką. Ze starcia się różnic opinii stryja i siostrzenicy, wywiązywały się gorące rozprawy, w których młoda, namiętna dziewczyna wybuchała. Wtedy głos jej nabierał siły, wymowa toczyła się lawiną. P. Edward, chociaż nie został przekonany, milkł, bojąc się doprowadzać do ostateczności, bojąc się wybuchów lub rozdrażnienia nerwów przeciwniczki.

Zpoczątku Jadwiga popierała ojca. Powoli jednak przechylała się na stronę siostry, broniła jej, pomagając do zwycięstwa.

P. Edward w pierwszych chwilach nie zwracał na tę zmianę uwagi. Dopiero, gdy Amerykanka zaczęła wołać:—Wy konserwatyści, kierujący łosami narodów, którym ludzkość ma zawdzięczać swoją egzystencją, pokażcie coście zrobili! Faktów, dowodów!—w ulżeniu ciężkich losów bliźniego, w nowych pracach, odkryciach, wynalazkach, przemyśle...

— Handlarzami nie jesteśmy—przerwał jej pan Edward z uśmiechem.

— W sztuce, literaturze, naukowych badaniach, w wielkich ofiarach poświęcenia i miłości.

Pan Edward milczał. Młoda dziewczyna, blada ze wzruszenia, patrzyła oczyma świecącymi od płonącego w nich ognia, nieruchomie.

— Nie mówimy—rzekł p. Edward po namyśle—o dziejach ludzkości i narodów, lecz o własnym kraju.

— Proszę o dowody z własnego kraju.

— Cała nasza historia... bo innego stronnictwa nie ma.

— Aż do upadku—szepnęła.

— Jeżeli nie ma innego stronnictwa, po cóż je tworzyć? Czy dlatego, aby je ośmieszać—odezwiała się poważnie Jadwiga.

— *Ettu, Jadziu, contra me.*

— Bronię tylko słuszności—odparła.

— Pokażcie mi wielkie dzieła, dokonane przez waszych demokratów—zawołał z emfazą.

— Racz ojciec naprzód opowiedzieć o wielkich dziełach dokonanych przez jego stronnictwo.

— Myślałem, że moje stronnictwo jest również i twojem—rzekł p. Edward z wymówką.

— W tej chwili staję w obronie słabszego. Stasia nie zna dobrze naszej przeszłości, na którą sprawadziłeś, ojczyste, dyskusję.

— Ale wiem tyle—odpowiedziała żywo dziewczyna, że Kościuszko, Pułaski, Kollataj i Staszyc, Śniadecki, Mickiewicz i Słowacki, Kraszewski i Matejko—reprezentują idee postępowe i należą do naszego obozu. Oni-to ratowali i ratują życie narodu.

— Ojczyste, Stasia umie się bronić i obroni: interwencja moja zbyteczna.

— Ciekawy jestem, moja Stasiu, jak ty będziesz dalej w praktyce snuć nic tego życia postępowego—mówił z uśmiechem p. Edward, chcąc się wycofać z pola dyskusji, na którym czuł, że nie dotrzyma kroku.

— Pokażę to czas, a dopomogą okoliczności sprzyjające i ludzie, którzy mnie będą otaczać. W tej chwili jestem przekonana, że w Jadzi mam sprzymierzeńca.

— I współpracownika—dodała Jadwiga, wyciągając rękę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Horyzont polityczny. — Ciemne plamy i plamki. — Dwa ważne wypadki: Śmierć hr. Chambord'a i zaczepny artykuł w *Nord-Deutsche Allgemeine Zeitung*. — Wrażenie, jakie wywołała we Francji śmierć pretendenta i jaki stosunek zachodzi pomiędzy tym wypadkiem a artykułem gazety niemieckiej. — P. Antoine, poseł Meseński (z Metz) w „Reichsracie” niemieckim i Kraszewski. *Similia similibus*... — Jeszcze słowo o wychowaniu kobiet. — Licea panieńskie we Francji. — Zakłady prywatne. — Modna nauka w Paryżu i na prowincji. — Czy to myśl swojska? — Geneza i pierwszy prawodawca. — Rozumowania i prawdopodobne następstwa. — Słowo o pomniku dla Mickiewicza. — Poeta i wojak. — Kraków i Londyn. — Odyseja konnego posągu Wellingtona. — Poszukiwania celtyckich starożytności. — Książka p. d'Arbois de Jubainville'a. — „Próba katalogu literatury Eposu w Irlandyi”.

Paryż we Wrześniu 1883 r.

Dwa wypadki wielkiej doniosłości zakłóciły tu na chwilę spokój głębokich polityków, śpieszących skwapliwie na wieś, nad brzegi morza, na polowanie, albo w podróż za granicę lub w góry. Mówię, że się to stało na chwilę tylko; bo tu, jak niegdyś u nas, sto lat już temu, żyje się z dnia na dzień. Ażeby głębiej osiągnąć jakiego uczucia tej egoistycznej masy, potrzeba uderzenia piorunu, tuż obok, i to jeszcze, jeżeli nie ugodzi w każdego, jak błyskawica przeminie.

Pierwszym z tych dwóch wypadków była długa, ciężka choroba, a nakoniec śmierć hr. Chambord'a; drugim—pewien zaczepny argument, umieszczony w ostatnich czasach w dzienniku niemieckim *Nord-Deutsche Allgemeine Zeitung*. Są nawet ludzie, którzy widzą dość ścisły stosunek polityczny pomiędzy temi dwoma wypadkami.

Śmierć hr. Chambord'a, jeżeli wywołała wielkie i głębokie wrażenie, wśród tego grona ludzi, którzy pozostali mu wiernymi i całkiem oddanymi aż do śmierci—w kraju, we Francji, potrzeba wyznać szczerze, miała jedynie tylko rozgłos wypadku, smutnego zapewne, z powodu wysokiej godności i zacności zmarłego, ale niedotykającego bynajmniej tej głębokiej, narodowej żyłki, którą usiłowano napróżno sztucznymi sposobami poruszyć. Tę obojętność powszechną bez wielkiego trudu zrozumie i wytłumaczy sobie każdy, kto zastanowi się nad stanem społeczności we Francji. Od lat pięćdziesięciu zgórą dwa nowe pokolenia weszły do życia narodowego: a dla tych obu pokoleń, przywykłych rachować na siebie samych, i żyć własnymi siłami, jak równie dla trzeciego, które dorasta—tradycje i podania, miłości i przy-

wiązania do szczepeu starej monarchii stały się rzeczą zupełnie obcą i bez żadnego znaczenia w politycznych stosunkach kraju.

Śmierć ta, skutek dziwnej i, mimo exenterowania zmarłego, zagadkowej jeszcze choroby, przypomniała fatalną scenę, która poprzedziła jego urodzenie. Tak straszliwe, dzikie i niespodziane zamordowanie ojca jego, księcia de Berry na schodach teatru ma całą tragiczną groźbę starożytnych morderstw. Ludwik XVIII który panował wówczas i który był jednym z najbieglejszych łacinników swojego czasu, po narodzeniu się tego pośmiertnego epigona miał przy jego kolebce powtórzyć piękny i pamiętny wiersz Wirgiliusza: *Heu! miserande puer, si quae fata aspera rumpas, tu Marcellus eris!* Otóż, jak tamten starożytny epigon, tak ten szczepe burboński nie przełamał twardego losu i zamknął oczy na wygnaniu.

Przypominano również i to, co tu nazywano: „Tajemnicą króla” (*Le secret du Roy*). Zdawało się wielu zmyślnym i czczym powodem to, czem usprawiedliwiano w publiczności dobrowolne zrzeczenie się hr. Chambord'a, powrotu do Francji i zajęcia tronu w 1873 r. Ta kwestya narodowej chorągwi, której zmarły nie chciał przyjąć w zamianę białej, królewskiej chorągwi była to tylko pokrywka i pretext: prawdziwym powodem zrzeczenia się było ostrzeżenie z Północy, że ta radykalna zmiana, w położeniu Francji, może się stać niechybną przyczyną wojny. Jeżeli przypomnimy sobie, cały przebieg sprawy Arnima w owym czasie wielkie jest podobieństwo, że prawy i rozważny hr. Chambord cofnął się przed groźnym widmem powtórnego najścia na ojczyznę...

Że zaś znaleziono pewien bliski stosunek pomiędzy śmiercią hr. Chambord'a i nagle wystrzelonym artykułem *Północno-niemieckiej gazety*, pochodzi to ztąd, że ten artykuł, cierpki i groźny, pokazując naraz brutalną niechęć ku Rzeczypospolitej, która, jak dotąd, była niby *persona grata* ludzi z Kultur-kampfu, poprzyklepiany został w plakatach, po wszystkich, jak mówią, ulicach miasta Metz. Owoż garnizon tej kresowej warowni liczy dziś przeszło 70,000 żołnierza rozmaitej broni, a wytoczona sprawa p. Antoine'owi, posłowi messeńskiemu do Reichsrathu, która jest istnem powtórzeniem sprawy naszego Kraszewskiego (to jest perkwiżycy w papierach i szufladach, poczem nastąpi zapewne pociągnięcie do sądu, zawsze za ową „zdradę państwa”), nadaje większe jeszcze znaczenie artykulowi gazety. Poseł ten, jak wiadomo, jest otwartym separatystą i stronnikiem stanu rzeczy *ante bellum*.

Co zaś do styczności tej zmiany frontu ze śmiercią hr. Chambord'a, chcą tu ją upatrywać w tej okoliczności, która na miejsce zmarłego wyprawdza na scenę gałąź orleańską. Ztąd pewne kombinacje, zobowiązania, warunki, których nigdy nie potrafił dokładnie wyjaśnić, bo to są *arena imperii*... Opuszczam więc bez żalu pole polityki...

Nieraz już na tych kartkach mówiliśmy o wychowaniu kobiet we Francji, to z powodu dzieł naukowych, ogłaszanych w tym przedmiocie, to z powodu oficjalnych raportów ministerium oświecenia, to z powodu nowych zakładów projektowanych lub otwartych, dla wychowania pańien.

O tych ostatnich wspomnieliśmy już nawiasem, kiedy rzecz chodziła o otwarcie szkół wyższych, pod nazwą: *Liceów, Szkół normalnych, Dla dziewcząt* i t. d. My jeszcze w zastarzałej naszej rutynie, mówimy: *Dla pańien*; tutaj, w dawnej gallijskiej prostocie, a nowem francuzkiem brutalstwie, powiadają bez ceremonii: *Dla Dziewek* — „*Pour les filles*“.

Dziś powinnością waszego kronikarza jest bliżej dotknąć tego przedmiotu, a to z powodu emulacji, jaka zaszła, pomiędzy tutejszym ministrem oświecenia i Radą Miasta Paryża, w kwestyi: „Kto będzie miał ostateczne zwierzchnictwo nad zakładami tego rodzaju?” Sprawa ta ciągnie się już od lat dwóch, a dotąd jeszcze w Paryżu nie ma otwartego liceum, bo się polityka i polemika wnieśli niefortunnie.

Rada miejska utrzymuje, że dawszy pie-

niądze, nabyła przez to prawa do wybierania zarządu professorów i nauczycieli, — kto wie? może nawet z własnego swego grona. Minister, roztropnie i bacznie sądząc ten wniosek, opiera się żądaniu: i owo dziewczęce liceum, usuwa się coraz-to dalej z przed oczu, tak, że sławne: „*Enseignement secondaire*“ nie praktykuje się dotąd i może Bóg wie, jak długo jeszcze każe czekać na się w Paryżu, który pierwszą myśl podał i gdzie najstosowniej może byłoby ją urzeczywistnić.

Tymczasem, kiedy się rząd *śpieszy powoli*, swoim zwyczajem, zakłady prywatne tego rodzaju mnożą się i rosą jak grzyby i prawdziwie zadziwiająco wydają skutki. Mamy tu już prelekcje i kursa, na które raniusienko, trochę zaspane, wielce rozczochrane, z teką pod pachą, ze wszystkich stron ciągną, jak słomki, młode dziewczęta—czasem w asystencyi matek, a najczęściej pokójówek lub bon, uczesanych i wymuskanych, jakby na występ jaki. Dokąd śpieszy ta trzódka?—niepytaj, bo z dumą i prawie z oburzeniem odpowiedzą ci: „Na kursa!” Jest to w modzie, a więc dość na tem.

Jedne więc pieszo, inne fiakrami, a są, co i piękną bogatą karetką, dążą do drzwi zakładu, zamkniętych i milczących jakby klasztornych, ale to nazewnątrz tylko: niema tu wcale klauzury—przeciwnie! Wiek i kondycya studentek są przeróżne i dziwnie zmieszane. Co do ich wieku, szala się waży pomiędzy dwunastą i dwudziestą laty. Co do stanu, znajdują się tu wszystkie stopnie, zaczawszy od córki odźwiernego i kancelisty, aż do dziedziczki milionowego bankiera. Moda! a więc stany się równają, mieszają kondycje i przygotowują się *nouvelles couches sociales*, do których coraz-to nowe przybywają zasoby, bo wakanse są łatwe. Co chwila słyszę, że ktoś ze słuchaczy wychodzi zamąż—a więc... przechodzi na inne kursa!

Skoro się drzwi zamknęły, rozpoczyna się nauka — i to nauka nie na żart... Wykładają się przez trzy godziny, najgłębsze tajniki natury, najtwardsze zagadnienia, najcięższe rozumowania. Trzeba patrzeć w te żywe, pojętne oczy, w których ciekawość, intelligencja, wirują jak światło w słońcu. Jest to tak różne od klasy męskiej, jak niebo od ziemi! Zapewne, ale zaraz występuje pytanie:—No, a jaki koniec? A!...

Państwo G... starzy moi przyjaciele, mają córeczkę, śliczną czternastoletnią dziewczynę — hożą, milusią, jasnowłosą—jak matka, którą znałem, młodszy jeszcze od tej podlotkiem — słowem: dziewczucha żywa, bujna, pełna, jakby kłos naszej pszenicy. Kilkanaście dni temu, było to właśnie po examinie, aż tu matka mi się chwali, co za postępy robi jej córka na kursach. Pokazuje się, że ta blondyneczka z jasnemi jak niebo oczami, to przyszyły *Lagrange* w spódnicy—tak wielkie wrodzone do matematyki posiada zdolności.

„Janino! Janino!” Przybiega; idziemy do gabinetu ojca. Poczciwy literat, poprawia okulary—a ona, z kredką w paluszkach, różowych jak pączki, zaczyna wykreslać, liczyć, mazać, dowodzić jaknajpoważniej: „że wszelkie ciało stałe, pogrążone w płynie, traci koniecznie pewną część swej wagi, odpowiednio objętości i wadze płynu“ i t. d.

Ja przerywam i wyznaję pokornie, wraz z ojcem, że nie rozumiemy ani słówka.

— A no! — powiada dziewczę z uśmiechem, figlarnie—mniejsza oto, może to nazbyt zawikłane zadanie. Pójdźmy więc do czegoś łatwiejszego: do geometryi wykreslnej.

Patrzę, aż ona mi rysuje stary, pamiętny ze szkół, Młynek Euklidesa. Niech pan uważa: „W trójkącie prostokątnym kwadrat z przeciwprostokątnej—i buzia jej krzywi się na bok, mając wymówić grecki określnik *hypote nuza*—równa się dwóm kwadratami z dwóch boków, ką prosty obejmujących“. Dopiero wtenczas, zapomocą całusów i uściśków, potrafiłszy z ojcem, zatrzymać ten potok uczoneści i zamknąć śliczną świeżutką buzię. Gdzieżbyście znaleźli chłopca w tym wieku, z podobnie otwartą głową? To już nie zdolność, nie intelligencja tylko, ale kwiat, ale wyskok ducha!

To też rząd, widząc jaką ma miarką mierzyć, ustanowił trzy dyplomy; z nich drugi równa się

stopniowi naukowemu (bachelier), z wyjątkiem starożytnych języków. Co do trzeciego dyplomu, jest to prawdziwy *Summus gradus Sapientiae*. Te, co taki papierek mają w kieszeni, nie pójdą czerwać pończoch i przyszywać guzików do koszuli... Aha! Pytałem się wczoraj p. Józefa — jest to inżynier, uczeń szkoły górniczej: — Co też myślisz, bracie, o tych examinach i patentach — panien? A on na to: Mógłbym się odważyć w potrzebie, ale musiałbym pierwej, przez jaki rok czasu przepażyć pilnie stare sexterna.

Tak się to przedstawia w tej chwili.

Na prowincyi, w wielu bardzo miastach, urzędowe licea dla panien są już otwarte i w pełnym rozwoju. Aby je stworzyć i otworzyć, musiano uciec się nieraz do ciężkich i kosztownych środków. Ale, ponieważ wszędzie chcą się popisać i pokazać, przez miłość własną i przez punkt honoru, idą więc w zawody, jedni z drugimi. Wyrzucają pieniądze workami, mnożą zapomogi, zachęty pieniężne (*bourses et demi-bourses*), bo dotąd, najwięcej tam córek urzędników i biednych republikanów bez miejsca. Zupełnie przeciwieństwo tego, co się dzieje w Paryżu, na prywatnych kursach.

Powiedzmy zaraz, że myśl tych urzędowych zakładów i tego urzędowego uczucia, nie jest to bynajmniej rzecz swojska we Francyi. Zrodziło się to gdzieśindziej: z Anglii, z Ameryki przeszło do Szwajcaryi, do Niemiec i takdalej; we Francyi przyczepiono tylko niezbędną, *urzędową* do tego, cedulkę. Geneza tego przyswojenia we Francyi jest dosyć ciekawa. Wynałazcą był niejaki pan Kamil Sée, synowiec słynnego lekarza i profesora Sée, ulubiony uczeń Juliusza Simona, zdolny Izraelita! ¹⁾

Jako dawniejszy poseł do Zgromadzenia Narodowego, młody, ledwie pod wąsem, kawaler, łagodny i słodki jak cukier, złożył ten wniosek nad wnioski: Założyć takie licea, mające być chluba i ozdobą Francyi, odrodzonej — przez uczone kobiety!

Taki gwałtowny, namiętny przewrót w wychowaniu kobiet, pochodząc od młodego, ledwie ze szkół wyszłego chłopaka Izraelity — mógłby zadziwić ludzi dojrzałych gdzieindziej! tutaj, przeciwnie, chciano mu już stawiać posągi. Najlepszymi posągami będą w przyszłości uczennice tych liceów!

Myślano dotąd, nie bez pewnej racyi, że aby się porwać na rozwinięcie zagadnienia takiej wagi, jakim jest kwestya wychowania w ogólności — a szczególnie edukacja kobiet, potrzeba było przedewszystkiem wielkiej nauki i *wielkiej znajomości życia*; że i najmędrsi dotąd, z bojaźnią dotykać się ich ważyli. Mistrze i mistrzynie w tym zawodzie, na całym świecie, przystępowali do tego, dopiero w późnym, w podeszłym wieku, i to z jaką ostrożnością, z jaką bojaźnią, z jakim religijnym prawie szacunkiem! A tu, młody Kamilek, z mlekiem pod nosem — rozwiązał zagadnienie za jednym pociągnięciem pióra.

— „Zakładajcie! zakładajcie — powiada — co żywo *Licea dziewczek*. zakładajcie urzędy, dużo, dużo liceów — z konwiktami czy bez konwiktów — byle to były licea przedewszystkiem. To więcej warte niż wszystkie wasze klasztory. A spiescie się, a prędko! — Otwierajcie prywatne zakłady i pensye! Zobaczmy! Co do mnie, znając Francją i znając tutejsze kobiety, czuję, że mi dreszcz przebiega po skórze. Niedosyć jest dać naukę: trzeba jeszcze aby ta nauka znalazła swoje pewne, właściwe zastosowanie; inaczej będzie rozbrat z życiem, zamiast korzyści stanie się szkoda i społeczność będzie bezsilną na poprawę.

Wiem co mi odpowiedzą na to: że tu jest droga i rozwój, a w przyszłości piękne i wspaniałe zniwo; że te delikatne i wrażliwe inteligencje kobiece, wzmocnione i zahartowane silną i poważną edukacją, przyczynią się do zagrzania serc we Francyi i wzmocnienia ducha narodowego.

Powiedz dalej, iż potrzeba, aby kobiety francuskie, zbyt zaniedbane aż dotąd, stały się nakoniec, nietylko strażą, ale i blaskiem rodzinnego

ogniska; że, aby utrzymać w domu męża, potrzeba, aby żona była mu równą we wszystkim — aby mogła nietylko go zrozumieć, ale nawet zastąpić w każdym razie. Przyszły nakoniec czasy, iż należy jej przestać być obcą wiadomościom i nauce, które jej mąż posiada, zagadnieniom, które poruszają jego umysł. Niechaj żona od dziś przywyka pozostać z nim w zupełnej spójności myśli i chęci — jednym słowem: niech będzie mądrą i uczoną jak mąż.

Odpowiadam na to, że to są frazesy i tylko puste frazesy. Mądry i uczony mąż — to rzecz wyjątkowa. Życie powszednie — to wielka praktyka cnót cichych, spokojnych, zwykle w ciąsnem kole. Mieście się więc na bacznosci! Sposób, w jaki poczynacie sobie, i w tym tu kraju francuzkim, zaprowadzi was rychło do tego, że kobieta pójdzie dalej, niż wasza formułka.

Zagadnienie to arcyważne!... Znowu kiedyś wrócimy do niego...

Tymczasem słyszę skargi, przymówki, przycinki wokoło: Jak to być może? dziś, kiedy wszystkim i wszędzie wznoszą posągi, pomniki, abysmy my, nie zdobyli się jeszcze, na pomnik Mickiewicza? Wszakże to już było, postanowione, zadekretowane... Naznaczono kommisją — ba, nawet kommisją — cztery, pięć, nie wiem już ile... Są i pieniądze — tak się zdaje przynajmniej. Było i miejsce wyznaczone na pomnik... A, miejscel... Otóż tu jest sek dopiero. Pomnik ma być wzniesiony w Krakowie, ale gdzie?...
Pamiętam, że w czasie Jubileuszu Kraszewskiego, który pierwszy zebrał w tej kwestyi głos pełen powagi i wpływu, i pierwszy złożył swój spory szeląg i dał, jak w każdej ojezystej sprawie, silny popęd na przód... pamiętam mówić, iż pokazywano nam wówczas urzędownie najstosowniejsze ku temu miejsce na rynku. Za tło miały posłużyć poważne Sukiennice; po prawej stronie wznosił się kawał jakiejś starej, ceglanej wieży, jakby tam umyślnie dla malowniczości postawionej; po lewej — plac wolny, na którym zezasem, lato-by postawić coś naksztalt starej wieżycy na prawo... jeden z *przypadkowych* ławników, o co nie trudno między Krakowianami, podsuwał myśl pożyteczną, o zamczku na wodę, gdy ją sprowadzą na rynek... a pośrodku, miał stanąć posąg narodowego wieszca.

Ale że ta była rzecz najprostsza, najrozumniejsza, najłatwiejsza do wykonania; znaleźli się zaraz tacy, którym koniecznie potrzeba *argumentów rogatych*. Jednemu śniło się coś w ogródku... na Plantacyach, drugiemu na Szlaku, trzeciemu na Zamku; a najlepiej się udało autorowi pomysłu... urzeczywistnienia, łosć zresztą miernego, jako artystyczna wartość, portretu roboty Wańkowicza!... Mickiewicz oparty na Judahu skał... Widzicie ztąd efekt architektoniczny i rzeźbiarski. Skała! i na tej skałce stoi oparty Śpiewak *Wallenroda*... Przypuśćmy, że się stało zadosyć żądaniu niewiadomego... i popatrzymy na ten pomnik z tyłu, lub z boku?...

Kommissya, słyszałem że upremiowała nawet, jakiś inny projekt — przez wielu nazywany cudaeki, dlatego a zrobiła to tylko, iż artysta był zaprotegowany przez mecenasa w czepcu. Ale zwyczajem naszym zakipiła, zawrzało... a potem szumowiny opadły, wyklarowało się w krakowskim kotle, i pokazało się w gronie, że to rozegrana! A więc zaczynajmy nanowo!

To może i lepiej — bo przypomina mi to, co się niedawno wydarzyło w Anglii.

(Dokończenie nastąpi)

Co wiemy o trzęsieniu ziemi

Skreślił JUL. STINDE

przełożył A. N.

Jak daleko sięgają w odległą przeszłość najstarszytniejsze tradycje, tak starem jest podanie

w ludzkim rodzie o trzęsieniu ziemi; gdzie brak piśmiennych dokumentów o tych przewrotach, tam opowiadają nam ich historie szczątki świątyń, pomników i pałaców, które runęły, obracając w gruzy kwitnące niegdyś miasta mocarzów, nazywanych zwykle w prastarych legendach czcigodnymi starcami. Trzęsienia są tak dawne jak ziemia, a dopiero wówczas ustana, gdy w niej spokój zapanuje.

Przyjmując opinią niemieckiego filozofa Kanta i uczonego francuzkiego Laplace'a, ziemia byłaby odłamem oderwanej bryły słonecznej, a księżyc odłamem oderwanej bryły ziemskiej. W skutek tego oderwania się, ziemia musi krążyć około słońca, a księżyc około ziemi. Z trzech tych ciał niebieskich, słońce jest największem, księżyc najmniejszym — a ziemia zajmuje pod względem wielkości średnie pomiędzy nimi miejsce.

Wiadomo nam, że słońce posiada ten stopień ciepła, który otrzymujemy w naszych piecach do topienia kruszców, w niektórych razach wymagających najwyższej temperatury. Analiza widmowa bowiem udowodniła, że w kuli słonecznej żelazo, naprzykład, znajduje się w postaci pary.

Jakkolwiek ziemia była niegdyś cząstką rażącego blaskiem słońca, to jednak straciła pewną część swego pierwotnego ciepła, gdyż jej powierzchnia jest wystygłą, zimną, odpowiednią tylko dla życia zwierząt i roślin, któreby w innych warunkach zginęły, a mianowicie: gdyby ziemia posiadała choćby tylko temperaturę wrzącej wody.

Od stopnia ciepła, przy którym topi się żelazo, do stopnia wrzenia wody i wreszcie stopnia obecnego temperatury ziemskiej odbywało się ciągle wystyganie naszej planety, a ponieważ w porównaniu zestrefą bieguna północnego cała pozostała przestrzeń kuli ziemskiej może być nazwana gorącą, widoczną jest rzeczą, że ziemia tak jak przedtem, jak obecnie i w przyszłości, utracą ciepła bez przerwy. Proces oziębiania się ziemi postępuje nieustannie. Księżyc, jako najmniejszy z trzech ciał niebieskich wyżej wymienionych, musiał się oziębiać najprędzej.

Z rozpalonego pieca dobędźmy cegłę, kamyk wielkości grochu i ziarno piasku, to ostatnie w najkrótszym czasie swój ciepłik utraci, kamyk już później wystygnie, a cegła najdłużej zachowa pewien zasób ciepła.

Przyjmując tensam stosunek dla wspomnianych trzech ciał niebieskich, okaże się, że księżyc oziębia się najprędzej, ziemia już powolniej, chociaż wystyganie jej postąpiło w niej w znacznym stopniu, a co do słońca, to straty ciepła, jaką niewątpliwie ponosi, oznaczyć jeszcze nie możemy.

Ponieważ wystyganie postępuje ciągle bez przerwy: musi więc przyjść chwila taka, w której ziemia będzie w tym stopniu oziębiona, w jakim obecnie znajdujemy księżyc; ze względu zaś, że to ciało, obserwowane przez teleskop, przedstawia widownią całkiem odmienną od ziemskiej, spodziewać się wypada, że ziemia, przy postępowem wystyganiu przechodzić będzie musiała przez rozmaite, osobliwe fazy, zanim w swej zgrzybiałości takie same pomarszczone, plamiste ujawni oblicze, jakie dziś przedstawia starszek księżyc.

Zmiana fizjonomii ziemi, wskutek powolnego lecz ciągłego ostygania jej, jest, rozumie się, hypotetyczną, jak wszystko co odnosi się do przyszłości. Siły natury oddziaływające na podnoszenie się i obniżanie łańdów i łożysk morskich, jakkolwiek ujawniają się nieustannie, to jednak mogą na dłuższy lub krótszy przeciąg czasu ustać, aby następnie wybuchnąć, gdy wskutek ciągłego gromadzenia się, będą tak potężnymi, że przelamują stawiany im opór.

Gdy to następuje wtedy zachodzą katastrofy niepospolitej doniosłości. Zanim zapoznamy się bliżej z niemi, musimy zastanowić się nad wystyganiem ciał niebieskich dla poznania zmian, których skutkiem jest oziębianie się.

Wszystko nam jedno: jaka materya tworzy ciało wystygające; czy składa się ona z masy płynno-ognistej, czy z wilgotnej, gliniastej, gdyż każda, oziębiająca się lub wystygająca, mieszanina ziemskich materyi ma własność zanikania, to jest że w niższych temperaturach zabiera mniejszą

1) Dziennik „Liccum” zostaje pod jego kierunkiem.

przeprzeżeń od tej, jaką zajmowała przedtem w wyższych temperaturach. Jeżeli to zanikanie odbywa się nieregularnie, to powstają rysy, rozpadliny, szczeliny.

Weźmy świeżo wyformowaną kulę glinianą, wielkości kuli od kregli, i pozostawmy ją w otwartym powietrzu, aby wyschła. Ponieważ wierzchnia jej powłoka prędzej wysycha i będzie silniej zanikać od wilgotnych warstw wewnętrznych, to musi temsamem rysować się i pękać. Gdyby wewnątrz kuli glinianej było wiele płynne, to owe płyny przez rozpadliny powierzchni kuli wypływałyby nazewnątrz i wypełniały je w części.

Wyobraźmy sobie teraz kulę glinianą, której średnica ma 1.718 mil, — z zanikaniem jej powierzchni, tworzeniem się na niej rozpadlin i zmarszczek: to w żadnym razie dziwić się nie możemy, że powierzchnia tej olbrzymiej kuli, w nieustannym drganiu, pękaniu, — jednym słowem: w ciągłym ruchu i niepokoju pozostaje. Ponieważ średnica ziemi w okrągłej cyfrze przybliżonej przedstawia długość 1.718 mil, a ziemia podobną jest do kuli glinianej, pozostającej w stanie zanikania, wynika ztąd, że powierzchnia kuli ziemskiej nigdy nie może być w spoczynku, lecz, przeciwnie, pozostaje zawsze w ruchu dzień w dzień, kurczy się, rwie, pęka, rozpada w pewnych punktach, odpowiednio do warunków miejscowych.

Ruchy, zanikającej wskutek wystygania i kurczącej się skorupy ziemskiej, nazywamy trzęsieniami ziemi. Jeżeli zanikanie powierzchni ziemi rzeczywiście odbywa się bez przerwy, to koniecznym tego wynikiem musi być ciągle trzęsienie ziemi. — Taki zarzut postawiłby nam mieszkanie krain, w których nigdy ziemia w posadach swych nie zadrgała. Zarzut ten, w części usprawiedliwiony, wymaga objaśniającej odpowiedzi.

Według statystyki trzęsien ziemi, od r. 1850 do 1875, liczone 4.620 ważniejszych tego rodzaju katastrof, powtarzających się w tempach wielokrotnych. Biorąc przeciętnie, przypadają na każdy dzień dwa trzęsienia, liczba zaś drgnień w czasie dnia zawsze jest nierównie większą od liczby drgnień obserwowanych w nocy.

Widzimy ztąd, że ziemia znajduje się w stanie nieustannego drgania i trzęsien, które się raz w jednej, drugi raz w innej jej części przejawiają. Nadmienić tu jeszcze winniśmy, że do statystyki powyższej nie wchodzi trzęsienia morskich topieli i łądów zamieszkałych przez ludy barbarzyńskie, ponieważ nikt takich przewrotów nie obserwuje i nie notuje.

W krajach górskich, skałami potężnymi najeżonych, trzęsienia ziemi są niebezpieczniejsze od tych, jakie zachodzą w krajach płaskich, posiadających grunt miękki, jak to ma miejsce, naprzykład, w Północnych Niemczech.

Gdyby skorupa ziemską składała się z masy miększej, to owe gwałtowne rozpadania się ziemi występowałyby łagodniej i mniej uczuwać się dawały; gdy jednak ziemia składa się na wielkiej przestrzeni z twardych gatunków skał, to te muszą wewnętrznemu parciu sił stawiać silny opór. Trwa to dopóty, dopóki ten opór wobec nagromadzonych sił we wnętrzu ziemi ostać się jest zdolnym. Gdy jednak sprężystość gazów granicę oporu przekroczy, następuje ruch gwałtowny, jakby nastąpiło zerwanie tamy morskiej, wylot strzały z wypreżonego łuku, lub pęknięcie w nierównym stopniu rozgrzanej szklanki. To małe wstrząśnienie w pewnej części skorupy ziemskiej, to rozerwanie lub pęknięcie, nazywamy trzęsieniem ziemi.

wyjaśnia nam to ten mianowicie fakt, że często trzęsienie ziemi, nie tylko w jednym jej punkcie zachodzić może, lecz odtworza się jednocześnie w punkcie drugim, niekiedy w wielce odległym od pierwszego. Trzęsienie ziemi, które zburzyło Lizbonę, dało się uczuć także w północnym Szlezewiku, a ostatnie trzęsienie ziemi na wyspie Ischii obserwowano również w Wiesbaden.

Dawniej mniemano, że wulkany są wentylatorami, przez które wnętrze ziemi, otrzymuje powietrze rozżarzone i rozumiano, że w trzęsieniu ziemi powietrze to poszukuje sobie wyjścia nazewnątrz, gdy to zatamowaniem zostało. Gdyby tak było w istocie, to najsilniejsze trzę-

sienia ziemi musiałyby mieć miejsce w sąsiedztwie wulkanów, gdy tymczasem dzieje się przeciwnie i już Alexandrowi Humboldtowi dziwnem się to wydawało, że drgania ziemi stawały się tem silniejszymi, im następowały w miejscach odleglejszych od wulkanów. Wreszcie istnieją okolice z wygasłymi wulkanami i w miejscowościach tych wstrząśnienia ziemi przejawiają się nie częściej, niż gdzieindziej. W Eifel i w okolicach jeziora Laach w Niemczech, wulkanicznego utworu, niema całkiem trzęsien ziemi, gdy tymczasem w miejscowościach od nich odleglejszych, wstrząśnienia często uczuwać się dają. Nie idzie zatem, aby kiedyś okolice Eifel, któregośkolwiek dnia nie stały się widownią wulkanicznych wybuchów, gdyż o obecności elementów przewrotu we wnętrzu ziemi świadczą gorące, kwasem węglowym przejęte, źródła lecznicze nadreńskie. Jeżeli przypuścimy, że wulkany tam tylko powstają, gdzie tworzą się rozpadliny i szczeliny, do których rozpalone materje, z wnętrza ziemi pochodzące, wcisnąć się mogą, to wyjaśni się nam przyczyna nawiedzania trzęsieniami okolic wulkanicznych, a niemniej i ta, że wulkaniczne wybuchy pozostawać mogą w ścisłym związku z wstrząśnieniami ziemi. Rzecz to prosta, gdyż tam, gdzie już raz potworzyły się rozpadliny i rysy, łatwiej już potem powtarzają się niż w miejscach, gdzie jeszcze skorupa ziemską nieuszkodzoną pozostała, mocniej się zachowała i silniejszy opór stawiać mogła.

Gdzie takie rozpadliny potworzyły się, to jest w bliskości wulkanów, tam trzęsienia ziemi są częstsze, lecz, natomiast, słabsze i mniej gwałtowne, niż tam, gdzie siła skupiona w jednej chwili otwór sobie wierce i wszelki opór pokonywa. Utrzymuje się mniemanie, że w bliskości wulkanów, im krótszy czas od wybuchu upłynął, tem mniejsza jest nadzieja, iż trzęsienie ziemi nie powtórzy się. Jakkolwiek to mniemanie niezawsze się sprawdza, to jednak faktem jest, że taksamo w Neapolu i Sycylii, jak i u podnóża Kotopaxi, ludność dopóty obawia się trzęsienia ziemi, dopóki para i płomień z paszczy kraterów wulkanicznych bucha. W Neapolu ustają wstrząśnienia ziemi, gdy lawa zaczyna ustawać, i stosunkowo biorąc, są one słabsze od tych, jakie występują u podnóża Apeninów (Humboldt).

Gwałtowny wybuch Wezuwiusza w r. 1855 nie był wszakże zdolnym zabezpieczyć Szwajcaryi od licznych i niszczących trzęsien ziemi, jakie wkrótce potem miały miejsce.

Boussingault twierdzi, że upatrywanie związku między wybuchami wulkanów a trzęsieniami ziemi nie jest całkiem uzasadnione. Wprawdzie przy wybuchach wulkanicznych w Andach, zdarzają się wstrząśnienia ziemi, lecz te są nieznaczące i wielce ograniczone. Niemniej trzęsienia ziemi na nowym łądzie a mianowicie te, które miasta Lactagua, Riobamba, Honda, Caracas, Laguayra, Merida, Barquisimeto, zburzyły, i wogóle wszelakie wstrząśnienia na rozległej przestrzeni zachodzące — nie miały żadnego udowodnionego związku z wulkanicznymi zjawiskami, ani z jakimkolwiek wybuchem wulkanicznym.

Według zapatrywania się na ten przedmiot Falba, przyczyn trzęsienia ziemi poszukiwać należałoby w przypływie i odpływie płynno-ognistego wnętrza ziemi, zależnego od położenia księżyca lub słońca; hipoteza ta jednak potrzebuje stwierdzenia, gdyż wielu poważnych uczonych wątpi o istnieniu płynno-ognistego wnętrza ziemi, a to z tego względu, że trudno wyobrazić sobie temperaturę, któraby zdolną była stopić masę ziemną pod wysokim stopniem ciśnienia skorupy ziemskiej. Natomiast teoria, według której trzęsienia ziemi są, nie czem innym, jeno tylko kurczeniem się i przesuwaniem części gór, znajduje coraz więcej zwolenników, do których należą tacy badacze, jak Suess, Crelner, Bittner, Hoernes, von Duecher, Elias de Beaumont, Mallet, Dona, Runge, Daubrèe, i wielu innych.

Wszędzie, gdzie tylko obserwować można było, nasza skorupa ziemską jest pokurczoną; starsze jej warstwy leżą bardziej w stromych pokładach, niż warstwy nowszego utworu. Czyż wnosić ztąd możemy, że obecne trzęsienia ziemi są tylko sła-

bem odbiciem katastrof z czasów prastarych i stają się tem słabszymi a więc i bezpieczniejszymi, im więcej czas biegnie i wystyganie skorupy ziemskiej postępuje? Byłoby to wnioskiem zbyt lekkomyślnym: nie możemy bowiem wyrokować dziś jeszcze o zjawiskach, z których zaledwie wybitniejsze znamy. W rezultacie wszystko, co nam jest wiadomem o trzęsieniu ziemi, redukuje się do hipotez, na których tak długo poprzestawać musimy, dopóki ich nie zastąpią lepsze, gruntowniejsze, na ścisłej obserwacji i sumiennych studiach oparte, przekonania.

Korrespondencya zagraniczna.

Biarritz, we Wrześniu 1883 r.

Morze! — czarowny wyraz wymawiany z pewnem drżeniem przez tych, którzy je znają i tych, którzy dopiero poznać je pragną. Morze, którego przypływ i odpływ ma dotąd niezbadany przez uczonych, magnetyczny związek z księżycem, wywiera go także na nas, biednych mieszkańców ziemskiego planety.

Przybywszy do Biarritz, nie szukam mieszkania, nie myślę o kufrach będących przez całą drogę głównym przedmiotem mej pieczołowitości; ale wyskakuję z karety i co prędzej udaję się na wybrzeże.

Morze powitało mnie w świątecznej swej szacie: spokojne, gładkie, ciemno-szafirowe, odbijające blaskami dyamentów i opalów słoneczne promienie, objęte brzegiem, niby puchem, srebrzystą falą. Nad niem niebo jaśniejsze, błękitne, iskrzące się wspaniałem południowym słońcem.

Wzrok biegnie coraz dalej i dalej w tej błękitnej światłości; czasem mignie biały żagiel, niby skrzydło anioła; duch zapomina o materji, przebija błękity i wznosi się w nieskończoność. Myśl roi się cudnymi obrazami. Mogę powtarzać słowa poety: „Tak mi dobrze, tak lekko, tak mi nic nie trzeba“. Wtem woźnica woła, że musi odjeżdżać: trzeba szukać mieszkania i zabierać swoje manatki. Rzeczywistość prozaiczna, ale nieunikniona, przerywa zadumę, rozprasza promienne myśli.

W pierwszej chwili, jak niegdyś Mickiewicz, mam ochotę wrzucić w morze te nieznośne kufrzy; ale chwila rozważa przywodzi mnie do przekonania, że my, zwykli śmiertelnicy, nie mamy prawa naśladować excentryczności wielkich ludzi, bo co uchodzi gieniuszom, to nam poczytanoby poprostu za głupotę. Trudno! najwspanialszy widok morski nie może mi zastąpić mych kufrów, — bo bądź co bądź dla nas, pieszczochów dziewiętnastego wieku, te marności świata stały się niezbędnymi.

Po tych reflexyach, trwających całe pół minuty, z dobrą już miną zaczynam szukać jakiegoś *locum*.

Hotele drogie, a mieszkania w nich nieszczerólnie, wszystkie bowiem appartamenta z widokiem na morze zajęte. Woźnica radzi mi udać się na plac du Vieux Port. O! bądź błogosławiony francuzki automedone! po chwilowem poszukiwaniu znajduję parę ślicznych pokoików, z balkonem wiszącym nad skałą, u stóp której rozbijają się morskie fale.

Z radości daję woźnicy dwa franki „pour boire“, rozlokowuję się w mem gniazdeczku, ale nie patrzę już na morze. Natura dopomina się o swoje prawa, czuję głód niepohamowany, proszę o obiad. Służąca robi wielkie oczy na barbarzyńskie żądanie obiadu o drugiej i powiada, że mogę mieć śniadanie, ale obiad wszyscy jadają o siódmej, i radzi, aby jeść w l'hotel du Vieux Port. Idę, zasiadam pod płócienną wystawą; dają mi śniadanie z wielu potraw z winem i deserem z séra i owoców, ale wszystko to zastawiają na białym nie-maglowanej i przesiąkłej źle wypłukanem mydłem. Wracam w najgorszym humorze i pytam: czy nie ma tu innych restauracyi? Wymieniają mi

Palais Biarritz, Grand hôtel, Casino, Hôtel d'Angleterre, Hôtel des Princes. Ta spora liczba przybytków sztuki kulinarnej powraca mi dobry humor, mam już pewność, że nie grozi mi tu śmierć głodowa—powracam do morza. Widzę je od trzech tygodni codziennie o każdej godzinie i widok ten ani razu mnie nie znudził. Ruchomy żywioł coraz-to inny przybiera charakter, jak te gorące uczuciowe natury, które, chociaż zawsze tesame, tak zwanym praktycznym ludziom, a w gruncie zimniejszym tylko, nierozumiejącym siły odbieranych przez nie wrażeń, wydają się zmiennymi i niestalimi.

W pogodę szafirowe fale zbliżają się lekko do niewzruszonych kamieni, a pryskając na nie delikatną białą pianką, zdają się chcieć pieścić je, zmiękczyć i unieść ze sobą. W czasie burzy toczą się tu z rykiem, coraz-to potężniej, ciemno-zielone bałwany, pieniąc się wściekle, rzucając na twarde skały, i wyrwijając jednym odłamy kamieni, ciskają niemi w drugie, nie mogąc zmiękczyć, pragną zdruzgotać, lub, pełne wzgardy, pluja kłębami żwiru na płaskie wybrzeża: tak serce gorące a czułe, pragnące pozyskać sobie drugie zimniejsze, raz rozplywa się w słodkiej pieszczocie, a drugi ciska oburzeniem i gniewem.

Ale dość porównań i morza; inni lepiej je opisywali: my zwróćmy się do strony praktycznej.

Biarritz, leżące nad Atlantykiem, u stóp niższych Pirenejów, jest głównie miejscem kąpielowym: to też nie ma żadnych fabryk, żadnego miejscowego przemysłu; nie przypływają tu handlowe okręty. Biarritz exystuje z gości i dla gości, którzy tego roku zebrali się licznie, a lista ich w „Journal de Biarritz“ świetnie się przedstawia: tyle tytułów książąt, hrabiów, margrabiów, baronów i znakomitości politycznych, że aż głowa pęka...

Sami tu prawie Wielcy i Jaśni; są jasnie oświeceni i jasnie wielmożni—jednym słowem: tłum świetności, piękności—z tytułami i bez tytułów. Polskich rodzin bardzo dużo, ale nie znając wszystkich, nie wymieniam żadnej. Dodaję tylko, że nasze Polki nie ustępują, co do wdzięku i elegancji, pięknym damom hiszpańskim i strojnisiom paryżkim, a wyróżniają się nieraz dystynkcyą i powagą. Na wieczorach tańczących bywają rzadko, ale gdy się ukaza, tańczą pięknie. Cassino najbardziej przyciąga kąpielowych gości; są tam najbardziej urozmaicone rozrywki. Dwa razy na dzień koncert orkiestry p. Gobart na terrase Cassina zwróconym na morze. Bardzo się podoba tu tejszym gościom spacer po terrase przy dźwiękach dobranej orkiestry, której tony zlewają się harmonijnie z szumem fal rozbijających się o skały. Koncerty wieczorne bywają czasem uświetniane występami solistów i wtedy odbywają się w sali balowej. Parę tygodni temu śpiewała tu, świeżym dźwięcznym głosem, i sama świeża jak różyczka, panna Théo, artystka wokalna z opery komicznej w Paryżu. D. 22 Września słyszeliśmy panią Masson, śpiewającą pięknym mezzo-sopranem, przytem występował panowie: Mauhin, skrzypek i Schmit, flecista. Codziennie, po wieczornym koncercie w Cassino o dziesiątej „soirée dansante.“ Czasem tańczy dużo osób, czasem jedna para, dwie albo żadna. Przez czas mego tu pobytu były dwa najświetniejsze wieczory: 22 t. m. po koncercie p. Masson i zaraz 24 w poniedziałek, uświetnione obecnością wszystkich prawie wielkości znajdujących się w Biarritz. W Cassino są także dwa salony gry; w jednym grają w ruletę przezwaną niewinnie „la chasse“, w drugim zgrywają się jeszcze bardziej w hazardowne gry w karty. Z Cassino emuluje tu Palais Biarritz niegdyś własność cesarzowej Eugenii. Świetność kąpeli morskich w Biarritz datuje od świetnych czasów tej właśnie cesarzowej. Była francuz-

ka monarchini kazała tu sobie na skale zbudować pyszną willę, z ogromną terrasą, na której dwa kamienne lwy zwracają do morza rozwarte paszczęki.

Piękna złotowłosa władczyni była niegdyś wyrocznią mody w Europie; Biarritz stało się bardziej uczęszczanem od Ostendy.

Jak émy wkoło światła, tak ludzie gromadzą się wkoło tych, nad głową których świeci gwiazda powodzenia i wielkości. Miasto zaczęło się posuwać w stronę willi cesarzowej, łaźienki Du Vieux Port opustoszały, a w bliskości willi wzniosły się drugie, większe i z większym urządzone komfortem; nazwano je łaźienkami „à la grande plage“. Spacer nawet w tej stronie stał się modnym, chociaż tu właśnie najmniej piękny jest widok, a wyrzucone na płaszczyznę rośliny w czasie odpływu morza rozkładają się pod gorącymi promieniami południowego słońca i często niemłą woń wydają. Ale chciano widzieć jak modna władczyni przygląda się odważnie rozszalałemu morzu w łoży wykutej w skale pod terrasą jej pałacu.

Burze morskie mijają bez przeszkody dla pięknej cesarzowej, ale burze polityczne złamały jej wielkość i zgasiły gwiazdę szczęścia nad jej czołem. Pozbawiona korony, okryta żalobą po stracie męża i syna, żyje cicho na ustroniu; nikt jej naśladować nie pragnie, mało kto myśli nawet o niej, a pyszna jej willa, sprzedana za trzy miliony franków, świetnie procentuje się przedsiębiorcom, którzy nie byli nawet dość uprzejmymi, aby jej zachować miano pięknej cesarzowej, i przezwali ją poprostu „Palais Biarritz“. Dwa tygodnie temu, w ponsowej sali zdobnej zwierciadłami, był tu koncert Sarasatego. Czarował on cudownymi tonami swych skrzypek i wzbudzał frenetyczne oklaski. Grał wiele melodyj polskich, między innymi etiudę Szopena i mazurek Wł. Górskiego.

Teraz w obrębie ogrodzenia Palais Biarritz ulokował się cyrk amerykański, wcale nie ciekawy.

W salach Palais Biarritz bywają także świetne bale, zaszczytane czasem obecnością znajdujących się tu wielkości. Ale, tak tu, jak i w Cassino, damy tańczą w kapeluszach i w toaletach, często bardzo wykwintnych ale krótkich i niedekoltowanych. Dziwnie wyglądają panowie: jedni tańczą we frakach i białych krawatach, inni w zakietach, niektórzy nawet w białych bawełnianych trzewikach lamowanych żółtą skórką, używanych tu bardzo do przechadzek nad morzem a wszyscy bez wyjątku, tańczą bez rękawiczek, na czem źle wychodzą jasne staniki dam, szczególnie w dni gorące. W Niedziele i Czwartki o trzeciej po południu bywają bale dziecinne; te zawsze udają się. Dzieci tańczą zawzięcie i na zakończenie dostają zabawki i cukierki.

Najpiękniejsze spacerują tu wkoło Vieux Port. Wybrzeże, otoczone dziwnie porywanymi skałami, najbardziej malowniczo się przedstawia. Na skale, wkoło otoczonej wodą, posąg Matki Boskiej, w skale tunel, poza którym budują przystań dla statków—w tym celu skała połączona z lądem, długim drewnianym mostem. Na tym moście i u stóp posągu Boga Rodzicy w czasie burzy wielu spektatorów się znajduje: tu bowiem najpiękniej wygląda wzburzone morze. Bałwany, wpadając na skały i w różne zagłębienia i arkady w nich porobione, tworzą precudne kaskady, a wleciawszy z rykiem w zagłębienia, siłą pędu wyskakują ztamtąd, wznosząc się wysoko, niby dymek leciuchny.

Wczoraj, w czasie szalonej burzy, cudnie wyglądało ztamtąd, i morze, i Biarritz, objęte w ramę różnobarwnej tęczy.

Piękny jest także spacer w stronę tak zwanej

Cotté Basque. Jest to część Biarritz, posuwająca się ku Pirenejom. Są i tu łaźienki, ale najmniejsze i najnudniejsze. Góry zamieszkują Baskowie, naród prawie pół dziki. Schodzą ze swych gór raz na rok, 9 Kwietnia, tu do Biarritz, w liczbie kilkudziesięciu tysięcy, i kąpią się w morzu, po swojej stronie. Wyszędłszy z morza, tańczą jakiś dziki taniec z okropnemi krzykami.

Roślinność w Biarritz—nie powiem, aby była bardzo bogatą. Najwięcej rośnie tamaryxów, a i te od strony morza mają żółkłe, jakby poschnięte gałązki; z pomiędzy tamaryxów wyskoczy czasem karłowaty mirt. Ale za to wspaniale kwitną tu w gruncie juki, chowane u nas z wielką starannością w cieplarniach.

Do przyjemności w Biarritz należą wyciegi konne, odbywające się w okolicach. Konie grandów hiszpańskich bywają czasem bardzo piękne. Wogóle arystokracja hiszpańska lubi zjeżdżać się tu na kąpiele i zabawy. Hiszpanów bywa najwięcej, także Rosyan i Anglików. Ci ostatni dopiero teraz zaczynają się zjeżdżać, zwykle przepędzają tu zimę. Tego roku dużo jest Polaków, trochę Szwedów i Niemców. Dwa tygodnie temu, odbywały się regaty, wyciegi statków żaglowych i wiosłowych w St. Jean de Luc. Massa osób zjad jeździła. Piękny to był widok, jak żaglowe łodzie wymijały się wzajem. Potem, dla zabawy publiczności, były na lądzie wyciegi małych chłopaków z nogami obwiązanymi workiem do pasa.

Ze wszystkich jednak tutejszych przyjemności, najmilsze są wycieczki łodzią żaglową na pełne morze. Robiliśmy parę razy w towarzystwie podobny spacer. Pierwszy raz cudna była pogoda; łódka płynęła lekko i równo po szafirowej powierzchni; na jeziorach polskich czasem większe fale bywają, niż na Atlantyku. Podpłynęliśmy pod Bajonę, widzieliśmy wypływające ztamtąd okręty. Właściciel łodzi przezwaną „Porte blanche“ bawił nas całą drogę opowiadaniem o swych podróżach do Ameryki Północnej i Południowej, do Kairu i Odessy; przytem rzucał wędki w wodę i kazał wyciągać ryby. Złowiliśmy kilka różowych płaskich a szerokiach, zwanych *les dorades* i kilkanaście srebrnych, kształtu śledzi, tylko większych, zwanych *les chichards*.

W czasie drugiej naszej wycieczki wiatr miotał falami, łódź zwana „Y Biarritz“, pędziła z szybkością błyskawicy; w parę godzin Biarritz zniknęło nam z oczu; ujrzelismy się sami wśród nieba i morza. Niektórzy zaczęli się lękać i wypytwać: czy tu niema *rekinów*? Właściciel łodzi uspakajał, że nikt tu ich nigdy nie widział, ale zato często można spotkać *foki*, które w czasie polowu sardynek bardzo są użyteczne dla rybaków, ponieważ foki lubią te smaczne drobne rybki, zatem obecność ich w pewnych miejscach morza zapowiada suty połów sardynek.

W czasie drugiej wycieczki byliśmy mniej szczęśliwi, bo złowiliśmy tylko jedną rybkę i musieliśmy wracać coprędzej, z powodu zawrotu głowy niektórych towarzyszy podróży.

St. Korczak.

Do dzisiejszego numeru *Bluszcza* dołącza się arkusz 3-ci powieści pod tyt.: **Książęce gniazdo.**

TREŚĆ. Tak pójdziem razem (poezya), przez Vrechlickiego — Marya Stäffe, przez M. Pnicką.— Polka i Amerykanka, powieść, (dalszy ciąg), przez Sewera. — Nowiny paryżkie. — Co wiemy o trzęsieniu ziemi, przez Juliusza Stinde. — Korrespondencya zagraniczna, (Biarritz), przez S. Korczak.

Warszawa.— Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 27 Сентября 1883 года.